

# Poetyckie skarby w nauczycielskiej kieszeni

Data publikacji: 18.01.2015 10:45

Poezja inspirowana literaturą romantyczną, ale też pracą nauczyciela, uczniami, ich błędami, które popełniają, jak również historiami niektórych wychowanków, jak chłopaka, który zginął w wieku 15 lat rozbrzmiewała w środowe popołudnie 14 stycznia w cieszyńskim Domu Narodowym. Swój wieczór autorski zatytułowany Skarby w kieszeni miała Monika Michałek.

Z pochodzenia Gdańszczanka w Istebnej, dokąd przyjechała, jak podkreśla, z miłości, mieszka już 25 lat. Jest nauczycielką języka polskiego w miejscowym Gimnazjum. Fascynuje się literaturą romantyczną, pisze wiersze, z mężem wydaje "Kalendarz z Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa".

- **Praca w szkole jest bardzo inspirująca. Ciągle ma się do czynienia z młodymi ludźmi** – mówiła podczas spotkania nauczycielka i poetka przyznając, że wiele wierszy powstało właśnie z inspiracji szkolnych. - **Jak choćby utwór o zaimku, który często jest nadużywany: mój.**

O Istebnej, Śląsku Cieszyńskim Monika Michałek mówi z wielkim ciepłem. Zapytana, jakie dostrzega różnice pomiędzy ludźmi w regionie, z którego pochodzi, a ludźmi w regionie, w którym już wiele lat żyje bez wahania wskazuje na wielką otwartość mieszkańców Śląska Cieszyńskiego. – **Nie trzeba się znać, by ze sobą rozmawiać. Ludzie żyją tu we wspólnocie, której w miastach się już nie doświadcza.**

Były również utwory o morzu. W końcu to są rodzinne strony poetki, do których, jak chyba każdy, podchodzi z wielkim sentymentem. – **Morze jest wolne. Ja tylko bywam** – stwierdziła wspominając czasy dzieciństwa spędzone nad morzem i na osiedlowym podwórku pomiędzy półokrągłymi blokami będącymi efektem myśli jakiegoś socrealistycznego architekta. (indi)

A oto kilka wierszy poetki:

Trwoga

Anno Karenina, przebacz, to nie małoduszność,  
gdy o przegrzanej gryce rozmyślałam z Lewinem  
i na pożegnanie trawy z pierwszego pokosu  
leżę całą noc w kołysce śmiechów czerwcowych.  
Wybacz mi, nie piszę o udręce Twego biednego serca,  
ale o tych cielętach i krowach, o ziemi zoranej  
pługami chłopów w bezkresie pod samo niebo,  
bo ustąpiły już mrozy na Jasnej Polanie .  
Umarł Mikołaj, a Konstanty widzi śmierć  
w lustrze: boczne zęby się psują, siwieją włosy...  
więc szlocha nad bratem i siebie żałuje.  
Nie płacz, Lewinie, łzy trzeba oszczędzać,  
niebawem gorąca krew popłynie w bruzdach twojej ziemi  
zgnije podeptane ziarno, lepiej ci nie żyć.  
Godło: Światło dnia

\* \* \*

Spotkanie

Cień czekał jak zwykle obok kranów i kontenerów  
już lepkimi korytarzykami skóry płynęła chłodna ulga  
już z porcelanowych tabliczek patrzyli oni

na mnie patrzyli wszyscy  
Jaki kołnierzyk jaka sukienka  
ten smutny ta ma dziwną minę  
zabił się lub umarł w starości  
zasłużony mąż ojciec  
dziewczynka ma dwa warkoczce  
Poczekaj babciu  
Muszę pogadać  
Zapytać  
Wąską ścieżką oddalić się od ciebie  
wołają mnie dzieci wystrojone  
Doganiałam ją u dziadka  
Stęchłe liście zawsze tak samo  
nawet w upale  
butwiały za dwoma kamieniami  
pachnąc w cieniu wielkiego drzewa  
z którym mieszkał dziadek  
Zwykle było coś do zrobienia  
Potem babcia siedziała na ławce  
A ja uczyłam się czytać  
Wersy o narodzinach i śmierci  
sylabizowane mozolnie imiona  
wykluwały się z nieistnienia  
i znikwały jak bańki mydlane

\* \* \*

Na szkicu ołówkiem (Jana Wałacha)  
wyprostowana kobieta  
ubija masło w drewnianym naczyniu  
dziecięce główki otaczają ją  
miękkimi liniami warkoczyków  
oczy  
spod niesfornych grzywek  
hojnie pomnażają  
marny płomyk naftowej lampy  
to środek świata  
kobieta z berłem  
wybija miarowo rytm  
oczekiwania i spełnienia  
żółta gruda wedle rozkazu  
przeistoczona jak zwykle cudownie  
zabłyśnie na pajdzie chleba  
już za chwilę  
tak rodzi się światło

\* \* \*

Małe drzeworyty Jana Wałacha  
Dwaj chłopcy wpatrują się w otwarte drzwiczki pieca  
rozświetlone dziecięce twarze  
obok siebie pochylone w zamyśleniu  
nie tylko jasne ale i  
ciepłe życiem  
co trwa w tej chwili zastygłej  
pnie świerków ledwie widać  
bose stopy zanurzone w mroku  
lekką unoszą drobną postać  
chłopak dźwiga wodę w dwóch wiadrach,  
głowę ma pochyloną w wysiłku

byle prędzej przekroczyć próg  
byle do swoich  
albo ta staruszka podparta o kij  
z włosami niesfornie  
opadającymi spod chustki.  
zgarbiona pod wiązką patyków  
słońce w południe doskwiera  
na chwilę obraca twarz  
patrzy się na mnie z ukosa  
żebyś pamiętała-mówi  
Wiem  
małe dziecko klęcząc  
głaszcze kurę w podwórku  
oboje odgradzeni cieniem  
płotu za którym trwa  
pracowity dorosły dzień  
pocieszają swe istnienie  
teraz widzę  
Janie drzeworytniku  
jesteś tam  
obserwujesz mijające sekundy  
niezauważony  
wciąż mało Ci i mało  
tych objawień.  
bo oto święte skinienie,  
święte zapatrzenie  
głaskanie psa  
i kij święty  
i ogień w kuchennym piecu ciemnej izby  
dziewięćdziesiąt lat życia  
nie starczyło  
na ten zachwyty  
\* \* \*

Sandor Marai pisze dziennik  
Sandor Marai pisze dziennik,  
Wokół szaleje wielka wojna,  
W gruzach kładzie się Europa.  
Budapeszt płonie w ogniu-  
Sypie się popiół pożądań,  
Ambicji i sławy.  
Spory w kawiarniach  
Zmiotł już dawno wicher historii.  
„Usiądź w łatanych spodniach  
na zamarznętej ziemi-  
Teraz jesteś w domu.”  
Za chwilę będzie po wszystkim.  
Sandor Marai pisze dziennik.  
Marek Aureliusz i Montaigne  
W głębokiej ciszy rozmawiają z Sandorem.  
I nie ma już soli  
A Rosjanie okrążają miasto.  
„Poranny statek  
manewruje w listopadowej mgle,  
pomiędzy przęsłami mostu Małgorzaty”  
Sandor Marai pisze dziennik.  
Tak teraz, jak i potem.

Z kostką lodowatej świadomości w głowie  
I narkotykiem literatury  
aby przeżyć tę długą starość,  
gdy przesypują się ziarenka piasku  
w klepsydrze świata.  
Sandor Marai pisze dziennik.  
Lola upada w łazience.  
Bliscy zmarli coraz ciaśniej  
Zaludniają przestrzeń,  
Więc Sandor wyrusza w drogę.  
Pisze dziennik w wilgotnej jaskini,  
Czeka  
Bez strachu i bez pragnienia.  
Na wybrzeżach San Diego  
Kołysze się horyzont,  
Tętni życie,  
Coraz krótszy jego cień  
Znika w oddali.

(indi)